

głową lśniący cylinder najnowszej mody. Modne palto z futrzanym kołnierzem, mały brylant w kravacie, lakierki, na które nałożył kalosze, dopełniały stroju eleganckiego Paryżanina. Twarz była bez zarostu, bo detektyw nie wiedział, czy nie spotka się w salonie barona z tak bystrym obserwatorem, któryby mógł poznać fałszywy zarost. A czegoś podobnego chciał Bernard koniecznie uniknąć.

Detektyw wszedł do najętej doróżki i kazał się zawieźć do pałacu barona de Brepont. Oddał swój bilet, który włożył jednakże do koperty, ponieważ napisał na nim kilka słów.

Nie potrzebował czekać długo, bo wkrótce powrócił służący i poprosił, by udał się za nim.

W minutę później znalazł się w gabinecie barona. Zaledwie służący opuścił pokój, podszedł zbłądliwy baron de Brepont.

— Przybywasz pan, jak na zawołanie — rzekł spieszenie.

W jednej chwili cofnął jednak, bo sądził, że ma przed sobą kogoś innego, lecz wkrótce poznał Bernarda i rzekł:

— Daruj pan, nie byłem przyzwyczajony widzieć pana w takim ubraniu! Ostatni raz miał pan całkiem inny kostium na sobie.

— Panie baronie, jestem zmużony bardzo często zmieniać mój zewnętrzny wygląd. Proszę nie zwracać na to na przyszłość uwagi. Lecz pan jesteś jakoś podniecony; czy nie zaszło przypadkiem coś nowego?

— Ta straszna historia przeszła w całkiem nowe stadyum — wyrzekł baron. — Co mam panu powiedzieć? Jak mam zacząć? Nie mogę przyjść do siebie i nie wiem, jak sobie wytłumaczyć to nowe zdarzenie!

— Jeśli to nie jest tajemnicą, którą pan chcesz zachować dla siebie, to proszę się tem ze mną podzielić — rzekł Bernard.

Baron postąpił naprzód do obydwu drzwi, zamknął je i opuścił ciężkie firanki. „Szklane oczko“ obserwował go w milczeniu.

Detektyw spostrzegł w jednej ręce barona biały papier, który z pewnością zawierał ową wiadomość, o której baron właśnie mówił.

— Tymczasowo nie powinien nikt o tem wiedzieć, co mi pisemnie doniesiono — rzekł Brepont cichym, ledwie dosłyszalnym głosem. — Niech pan sam przeczyta, a potem niech mi pan powie, co to znaczy.

Tutaj wręczył Bernardowi nieco zmiażdżoną kartkę i równocześnie usiadł ciężko na stołek przy biurku.

Bernard podszedł ku oknu i zaczął czytać:

— Od księcia de Bligny! — rzekł on i zablęśły mu oczy.

Lecz to poruszenie trwało zaledwie sekundę.

„Żyję! Chociaż cierpię pod przeznaczeniem, które mnie dotknęło. Nad wszystko jednak kocham Leontynę. Miłość ta nigdy nie zgaśnie, choćby los nie miał nam użyczyć jednego dnia słonecznego szczęścia. Proszę nie zastanawiać się nad tem, dlaczego się to wszystko stało. Nie mogę na to i nie śmiem odpowiedzieć! Może los pozwoli mi jeszcze coś o niej kiedyś usłyszeć, lecz co do mnie, to muszę dla ludzkości zniknąć! Tylko tyle mogę panu donieść. Martwa ręka, znajdująca się w czarnej szkatułce nie mogła być moją, bo ja żyję i jestem zupełnie zdrow. Mściwa kobieta chciała zapomocą niej śmiertelnie przerazić Leontynę i jej szczęście na zawsze zniszczyć! Niestety, udało się jej za nadto dobrze! Bywaj pan zdrow, panie baronie i wspomnij pan czasem na nieszczęśliwego księcia de Bligny“.

Detektyw złożył ostrożnie list.

— Cóż pan na to powie? — zapytał baron, ledwo żywy. — Przed kilku minutami przyniesiono ten list z pocztą! Z początku uważałem to za straszny żart. Lecz znam pismo księcia i jestem pewny, że to on i nikt inny pisał ten list.

Bez najmniejszego drżenia w głosie odezwał się detektyw:

— Czy mogę ten list zatrzymać? Mogłoby mi bardzo wiele pomódz przy dalszych poszukiwaniach.

Baron skinął spieszenie głową.

— Niech pan z nim robi, co się panu tylko podoba. Drzę formalnie na myśl, że będę musiał ten zwrot zakomunikować mej córce! Bo chociażby książę żył, to ta wiadomość będzie tylko powodem nowych zagadek i trwóg.

— Posłuchaj pan mego zdania, panie baronie — rzekł detektyw. — Teraz panu powiem, że ja, zanim jeszcze przeczytałem ten list, byłem przekonany, że książę żyje!

— Co?! Pan wiedział to? — zapytał całkiem

skonsternowany baron, patrząc szeroko otwartemi oczyma w detektywa.

— Najzupełniej, panie baronie. Może się pan teraz dowiedzieć o tem, o czem, ze względu na pewnie ży pościg, dotąd zamilczałem. Gdy sam jeden w nocy przeszukiwał biurko zaginionego księcia, przy czem wpadł mi w ręce papier, którego treść przy sposobności jeszcze omówimy, padł przez okno do mnie skierowany strzał.

— Strzał? — zapytał baron, który nie pojmował, co dalej miało nastąpić.

— Strzał — powtórzył Bernard. — Wypadłem na taras, wywaliłem drzwi i w strzelającym poznałem księcia de Bligny.

— Niemożliwe — wykrzyknął baron.

Detektyw wzruszył tylko ramionami.

— Nic w życiu nie jest niemożliwe, panie baronie. Na wszystko znajdzie się wreszcie wyjaśnienie. Nie udało mi się wprawdzie owej nocy schwycić uciekającego księcia, lecz wkrótce potem wyjechał książę do Marsylii. Także tam pospieszyłem za nim i powtórnie pozostały moje poszukiwania bez skutku. Może teraz będę miał więcej szczęścia.



...Ważną nowinę dzisiaj przynoszę — rzekł — lecz powiem krótko a węzłowato: Książę de Bligny żyje.

— Powiedźże mi pan przecież, z jakiego powodu grałby taką komedię? Któż był owym trupem, którego wyciągnięto z Sekwany i w którego kieszeniach znajdowały się papiery księcia? Nadto poznałem jak najdokładniej frak mego przyszłego zięcia, a stary sługa, Franciszek, nie zawahał się ani chwili przy stwierdzeniu tożsamości.

Na to odpowiedział Bernard:

— Kto był owym trupem, któremu rękę odcięto, aby zagrać wstrętną komedię, jest dotychczas zagadką. Rozwiąże się ona sama przez się, skoro tylko ściągniemy zasłonę z całego dalszego postępowania księcia.

— A wspomnienie o tej mściwej kobiecie? Co przez to myśli książę, jeżeli rzeczywiście jeszcze żyje?

Bernard odpowiedział ostrożnie:

— Może to jaka historia miłosna, sięgająca nieco w przeszłość księcia! Są przecież kobiety, które w swej nienawiści i wściekłości nie znają granic, jeżeli widzą, że są zdradzone!

Baron zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

— Książę nie utrzymywał w Paryżu z nikim żadnych stosunków. Wiem to zupełnie pewnie.

— Czy pan wie także, czy książę wcześniej, podczas podróży nie utrzymywał bliższych stosunków z jaką kobietą, z którąby potem wbrew jej woli zerwał?

Uderzony tem, spoglądał Brepont na mówiącego. O tem nie pomyślał on rzeczywiście, chociaż takie przypuszczenie można było bardzo łatwo zrobić. Książę był młody, elegancki i bogaty, podróżował przez kilka lat po nowym i starym świecie i przy tej sposobności mogła się wydarzyć tego rodzaju miłosna awantura.

— Gdybym mógł być coś takiego przypuścić — westchnął baron.

Bernard odrzekł z uśmiechem:

— To może się wydarzyć w najlepszych kołach, panie baronie. Dotyczy to osoby, która nas bliżej obchodzi; nadajemy też temu zdarzeniu silne znaczenie.

— Cóż myśli pan teraz robić? — zapytał baron. — Oświadczam otwarcie, że jestem jakby otumaniony, i nie wiem, co począć.

— Najpierw proszę pana, panie baronie, aby pan baronównie nic nie wspomniał o liście księcia...

— Potrzebuje ona koniecznie spokoju, aby powrócić mogła do równowagi.

— Pozwól mi pan zapytać, co słychać z baronówną?

— Dzięki Bogu, lepiej! — odpowiedział baron. — Leontyna wstała właśnie z łóżka i może nawet przyjmować wizyty. Właśnie jest u niej stary nasz znajomy, którego poznaliśmy swego czasu w Mentonie, czy w Nizzie, markiz de Lerma.

Na wspomnienie tego nazwiska, wzdrygnął się detektyw miwowlonie i rzekł z wymuszonym spokojem:

— Bardzo się z tego cieszę, panie baronie i dołączam odrazu prośbę. Czy nie mogłoby mi pan towarzyszyć do baronówny? Chciałbym zamienić z nią parę słów. Dlaczego to czynię, to tymczasowo zachowuję dla siebie. Wytworzy się mała, lecz tym razem zupełnie nieszkodliwa tajemnica!

Baron podniósł się z krzesła.

— Moja córka gotowa się jednak przerazić, gdy się dowie, że przyprowadzam jej urzędnika sądu karnego!

— Chciałem pana właśnie prosić, byś mię przedstawił, jako swego dawnego znajomego. Pod żadnym warunkiem nie może paść przy tem słowo „policja“. Okolicznościowo interesuje mnie markiz

de Lerma. Muszę przy tem, niestety, powiedzieć panu, że nasza polityczna tajna policja zajmuje się już oddawna markizem. Przedewszystkiem ostrożność! Markiz jest, zatem i dla mnie, pod pewnym względem zajmującą osobistością! Nigdy nie można wiedzieć, na co może się przydać tego rodzaju spotkanie!

— Co dotyczy markiza de Lermy, to mogę panu powiedzieć, że tego pana znamy tylko z czasów naszego pobytu w Mentonie, gdzie on nadskakiwał Leontynie. Może żył on wtedy jakie nadzieje, lecz te się nie urzeczywistniły. Dopiero przed kilku dniami wypłynął znowu w Paryżu i odwiedził mię. Zdaje się, że nie zapominał dotąd o mej córce, bo zjawiał się każdego przedpołudnia by dowiedzieć się o stanie jej zdrowia. Ponieważ umie doskonale prowadzić rozmowę i posiada w sobie coś pociągającego kobiety, przeto przypadły jego odwiedziny do smaku Leontynie. My nie możemy mu nic zarzucić i jeżeli rzeczywiście mieszał się w sprawy polityki, to nie podlega to naturalnie mojej krytyce.

(Ciąg dalszy nastąpi).